OPIEKUN POLSKICH DZIECI.

Nr. 25. Lwów dnia 23. Czerwca 1868. Rocznik 2.

Narody i kraje starożytne.

(*Dokończenie*). — Zgadzają się na to dziejopisowie, że przeszło 25 wieków upłynęło od stworzenia świata, zanim ukazały się na świecie pierwsze państwa. Cóż zatem być mogło przed ich powstaniem, jak ludzie żyli, w jaki sposób byli rządzeni, oto zachodzi pytanie, które zaraz objaśnimy.

Wiemy już z historyi świętej, że w 150 lat po strasznym potopie, którym Bóg zalał całą ziemię, potomkowie Noego, który z woli Najwyższego wraz z rodziną uszedł od powszechnego zniszczenia, czując potrzebę rozłączenia się, umyślili zostawić wprzód pomnik czyli pamiątkę swej bytności, i jak pismo święte mówi, zaczęli budować miasto z taką wieżą, którаby nieba dotykała. Pomysł ich taki, daje się tłumaczyć tem, że pragnęli po pewnym czasie znowu się zjednoczyć, i zdawało im się, że taka wieża, która nieba sięgać może, będzie zewsząd widzialna od nich, i wskaże im miejsce zebrania. Lecz Bóg zniweczył ten ich zamiar bezrozumny, bo stwarzając tak rozległą ziemię, stworzył ludzi, aby ją całą zamieszkali — stosownie do swych potrzeb. Jak więc pismo święte mówi, pomieszał owym potomkom Noego mowę tak, że jeden drugiego zrozumieć nie mógł, i przez to byli zmuszeni porzucić przedsięwzięcie budowania wieży, która nazwaną została B a b e l, co znaczy z a m i ę s z a n i e.

Rozeszli się więc ludzie po świecie, a trzy ich plemiona, które pochodziły od trzech synów Noego, osiadły w różnych częściach świata. Potomkowie S e m a syna Noego osiedli w środkowej, tudzież w zachodniej części Azyi; potomkowie C h a m a w południowo-zachodniej stronie Azyi i w Afryce; oni to założyli później państwo babilońskie: od nich powstali Egipcyanie, Chananejczykowie, Fenicyanie i wiele innych narodów. Potomkowie J a f e t a osiedli w północnej Azyi i w Europie. Szczep Jafeta czyli jego rodzina, wydała ludzi białych, Sema, ludzi śniadych czyli barwy oliwkowej, szczep Chama zaś ludzi czarnych.

Z tego, co nam historya opowiada, okazuje się, że każda z tych wielkich pierwotnych rodzin, miała w początkach swe oznaczone siedlisko, z kąd dopiero rozpraszały się w miarę powiększania się ludności.

Myśliwstwo i pasterstwo zdaje się, że najpierwszem były zajęciem człowieka, najpierwszym środkiem zaspokojenia ich potrzeb, z tąd i życie koczownicze, to jest, przenoszące się z miejsca na miejsce musiało być najwłaściwsze pierwszym owym pokoleniom.

Skóry zwierząt i namioty stanowiły schronienie dla mieszkańców północy; trzcina zaś, i palmy przydatne były do budowli dla mieszkańca na południu Azyi siedlisko mającego, który nie potrzebował nawet zasłaniać się od ostrości klimatu, który, jak wspomnieliśmy wyżej, był łagodny i umiarkowany. A że ziemia dostarczała mu podostatkiem żywności, nie wiele troszczył się o resztę, bo i nieznał różnych potrzeb, a tem bardziej wymysłów, które nam się dziś tak konieczne wydają. Przebywał ze swemi trzodami na płaszczyznach bez granic pod niebem zawsze pogodnem, a kierował się podług gwiazd tylko; boć to wówczas nie miał ani dróg, ani miast, podług których mógłby stosować swe pielgrzymki.

Gdy człowiek poznał, że ziemia zdolną jest do uprawy, osiadł na miejscu i został rolnikiem. W tedy stosunki między ludźmi zaczęły się więcej zawiązywać, powstały osady i wsie. Rodziny łącząc się z sobą, tworzyły społeczność, w której starszy ojciec familii miał pewną władzę nad innemi.

Z upływem lat poznał człowiek, że oprócz roli, oprócz pożywienia potrzeba mu i innych rzeczy, że w razie napadu jakiego nieprzyjaźnego mu pokolenia, nie ochroni się na polu otwartem. Skupił się więc w pewne upatrzone miejsce, pobudował sobie domy, jak umiał, okopał je wałem i sam niewiedząc o tem, dał początek miastu.

Oto taki był początek tworzenia się społeczeństw, narodów i państw, o których następnie po szczególe mówić będziemy.

C.

Odpłata z wdzięczności.

Dawno już było po świętym Macieju, co to jak stare przysłowie powiada: „zimę traci albo ją bogaci;“ — dnia coraz więcej przybywało, a cała wieś cieszyła się z rychłego powrotu wiosny, bo już mrozy znacznie zwolniały, a gdzieniegdzie nawet, gdy śnieg stopniał, przezierały cudnej zieloności ozime zboża. Mimo to jednak, jak to mówią „w marcu jak w garcu;“ — tu staniesz, najpiękniejsza pogoda, słońce świeci, skowronek lecąc w rozjaśnione błękity, nuci Panu Bogu swoją piosnkę wiosenną, dźwięczną jak odgłos wiejskiej sygnaturki, kiedy się po rosie rozpłynie, wzywając na nabożeństwo; aliści ni z tąd ni z owąd zawieje wiatr przeciwny, napędzi chmury, zasunie słońce, sypnie śniegiem lub krupami i już po pogodzie. Tak też to było właśnie i owego dnia, kiedy dwunastoletnia Teklusia z dawna już sierota po ojcu i po matce,

szarym wieczorem wracała z miasteczka, dokąd ją była posłała jej babka, co pomimo swego ubóstwa, chętnie ją przyjęła do siebie. Lekka i zwinna jak sarna, biegła nasza dziewczynka dobrze znajomym sobie gościńcem i niezważając bynajmniej na ostry wiatr szczypiący jej bladą twarzyczkę, biegła i śpiewała sobie jakąś wesołą piosnkę, ciesząc się że tak już blisko do figury, bo za nią parę kroków—i ot już Borowin przed oczyma. Kiedy tak biegnie wesoło, nie oglądając się po za siebie ani się spostrzegła, jak stara chuścina, która leżała na samym wierzchu koszyka, porwana powiewem marcowego wiatru upadła na ziemię, a wraz z nią jedyny dziesiątaczek, co był zawiązany w koniuszku, jako pozostałość od kupna małej Teklusi. W tem nagle wiatr zmienił kierunek, zaciemniło się niebo, śnieg sypnął jak z worka i dziewczyna mimowolnie zatrzymać się musiała w przydrożnej karczemce, czekając aż zawierucha przeminie. Tu dopiero spostrzegła swą stratę, tak drobną na pozór, a jednak przy jej ubóstwie nie małe mającą znaczenie. Zakłopotana i pełna smutku, zaczęła szukać w około siebie, ale przy coraz głębiej zapadającym zmroku i śnieżnej kurzawie, trudno było nawet pomyśleć o znalezieniu.

— Co ci to dzieweczko? zapytał jakiś jegomość ubrany w bogatą szubę, spostrzegłszy zapłakane dziewcze, smutnie przytulone w sieni karczemnej.

— Zgubiłam chustkę, — odrzekła z płaczem Teklusia.

— Czy nie na trakcie? — przerwał nieznajomy.

— Albo co? krzyknęła dziewczyna ocierając łzawe oczy w róg fartuszka.

— A to widzisz moje dzicię, bo ja znalazłem tam właśnie jakąś chustkę; zobaczno czy to czasem nie twoja, dodał wyciągając z kieszeni białą chusteczkę.

Teklusia smutnie kiwnęła głową. — Nie, rzekła, to nie moja, w tamtej był dziesiątaczek.

— Ach zapomniałem, był i dziesiątaczek, przemówił z uśmiechem nieznajomy, podając dziewczęciu nowy, błyszczący pieniążek.

— I to nie moje, odpowiedziała, tamten był zaśniedziały i stary.

— A otóż widzisz moje dziecię, że się zupełnie mylisz, bo i jedno i drugie do ciebie należy, — powiedział nieznajomy.

— A to jakim sposobem? — zawołała poczciwa Teklusia.

— Takim, — odrzekł dobry podróżny — że ci oboje daruję za twoją rzetelność.

Dziewczyna prawie nie zrozumiała tych wyrazów, podziękowała jednak za dary, a widząc że się niebo wyjaśnia, już się zabierała do wyjścia. Wstrzymał ją znowu podróżny.

— Dokąd to idziesz moje dziecię? — zagadnął uprzejmie.

— A do domu, do Borowina, — odpowiedziało dziewczątko.

— To jeszcze dobre ćwierć mili drogi, wtrącił jegomość; jakże tam zajdziesz po mroku.

— Znam dobrze drogę i będę sobie śpiewała: „Kto się w opiekę.“ Babusia powiadają, że to chroni od wszystkiego złego.

Nieznajomy z rozczuleniem spojrzał na poczciwą Teklusię i dodał po chwili: Ja także jadę do Borowina moja dziewczynko, i jeżeli zechcesz chwilkę poczekać, to mogę cię zabrać z sobą; tak jakoś będzie trochę lepiej, i prędzej się dostaniesz do domu.

Dziewczynka aż podskoczyła z radości i po niedługiej chwili czekania, usadowiwszy się skromnie na przodzie pańskiej bryczki, szybko zbliżyła się do rodzinnej wioski, ciesząc się że za powrotem tyle będzie miała do opowiadania swojej babci. W drodze dowiedziała się od furmana, że uprzejmy podróżny, który jej taką wyświadczył przysługę, był to właśnie nowy dziedzic Borowina, mieszkający w drugiej wiosce dla braku wygodnego mieszkania.

Pełna wdzięczności Teklusia skoczyła z bryczki przed chatką i rzuciła się do nóg sędziwej babce, która zdziwiona jej późnym powrotem, surowo zmierzyła ją oczami. Ale

opowiadanie Teklusi nie długo złagodziło gniew staruszki i w krótce po tem zmęczone dziewczę spożywszy skromną wieczerzę, wraz z babką zasnęła snem twardym na swoim sienniczku obok pieca. Ale zaledwie świtać zaczęło, obudziło ją trzepotanie i kwokanie ulubionej, siemieniatej kokoszki, która siedząc podle komina na przetaku, zwykle bardzo spokojnie się zachowywała. — „O babusiu! spojrzyjcie tylko, zawołała dziewczyna, przecierając zaspane oczka, wszakci to siemieniatka wysiedziała kurczęta; patrzcie, o patrzcie! jedno, dwa, trzy, cztery,....“ i skoczywszy na równe nogi, Teklusia narachowała dziesięcioro ślicznych żółciutkich jak kanareczki kurcząt. Trudno opisać radość starej kobiety, której owa siemieniata kokoszka pozostała jako jedyny zabytek zamożnego niegdyś gospodarstwa, i uciechę Teklusi, co już od dawna pieściła w sercu nadzieję, że za wyhodowane kurczęta babusia kupi jej w miasteczku kraciastą spodniczkę, o jakiej dawno marzyła. Mijał dzień za dniem, i już piąty tydzień się skończył, od czasu jak Teklusia hodując swoje kurczęta, zapomniała o reszcie świata, kiedy pewnego dnia niespodziany gość zjawił się w jej mieszkaniu. Była nim pani Warzelska, żona kucharza z Olszówki.

— Niech będzie pochwalony! witajcie matko! — rzekła pozdrowiwszy starą, ani wiecie po com tu aż do was przyszła.— Staruszka skłoniła się pokornie kucharzowej. — Oto, prawiła dalej Warzelska, — mówił wczoraj we dworze pisarz z Borowina, że macie bardzo piękne kurczęta, a że się tam pono jeszcze coś od was należy, więc też pan kazał mi iść po nie, żeby was z długu wykwitować, tem bardziej, że nasza panna Helena chora na febrę i dawno już pragnęła jeść kurczątka, a jeszcze nigdzie na wsi nie można ich dostać.

Teklusia, która siedziała właśnie na ławce przy kominie, i wesołym wzrokiem spoglądając na swoje kurczęta, aż struchlała na te słowa. Stosując się jednak do konieczności, pomimo dojmującego żalu pomogła takowe wyłapać, a w pół godziny potem pani Warzelska szła przez wieś unosząc w fartuchu trzepoczące ptaszyny, gdy biedne dziewczę gorżkiemi łzami zalane przytuliło się do babki, pocieszając się jednak tą myślą, że jej kurczęta pójdą na posiłek dla córki dobrego pana, który jej niedawno tak ważną zrobił przysługę.

Minęła wreszcie i Wielkanoc, nastała wiosna, zazieleniły się pola i łąki, nuciły ptaszki i radowały się serca ludzkie, ale w chacie biednej kobiety smutno było i głucho, staruszka bowiem złożona niemocą, od kilku już tygodni nie opuszczała łóżka, a biedna Teklusia w dzień i w nocy zajęta pracą, nie ożywiała izby wesołemi śpiewkami, z których słynęła na całą wioskę. Siedziała ona właśnie teraz przy kądzieli, słuchając ciężkiego oddechu starej babki, kiedy w tem drzwi zaskrzypiały i w progu ukazał się dziedzic Borowina, prowadząc za sobą córkę Helenę, śliczną jak anioł panienkę, która po krótkiem powitaniu zbliżyła się do łóżka staruszki, i obadawszy stan jej zdrowia, przemówiła do strapionej Teklusi: „Ciesz się moje dziecko, twoja babula nie długo będzie zdrowa.“

Dziewczyna ucałowała rączki dobrej panienki, a ta zostawiwszy jej jakieś ziółka, wyszła z ojcem obiecując, że ją w niedługim czasie znowu odwiedzi.

Jakoż od tego czasu zdrowie starej kobiety zaczęło się polepszać, choroba ustąpiła zupełnie, i tylko nadzwyczajne osłabienie spowodowane brakiem posilniejszej strawy, nie dozwalało jej powstać z łóżka.

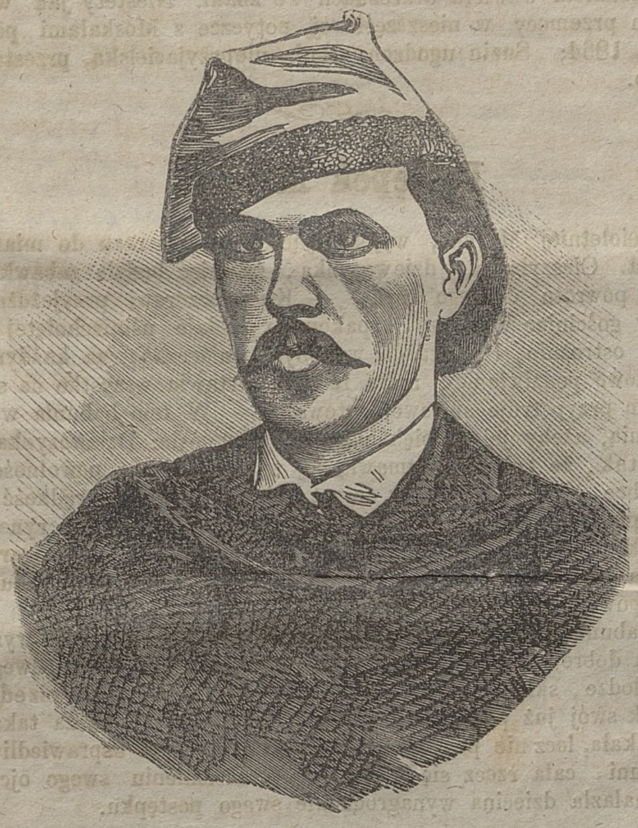
Jednego dnia nad wieczorem, do chaty ubogiej kobiety przyszedł znowu dziedzic z panienką; wypytując o jej zdrowie, zagadnęła panna Helena, siadając przy niej z dziwnie rozjaśnioną minką, czyby nie chciała sprzedać jej siemieniatą kokoszkę.

— Żartuje wielmożna panienka; alboż to tam mało ładniejszych we dworze, odpowiedziała staruszka.

— Ależ nie żartuję bynajmniej, przerwała Helena, to cudowna ptaszyna, najprzód mnie przywróciła zdrowie swemi kurczętami, a teraz ni z tąd ni z owąd, usiadła w obórce, i ani się domyślicie, jakiego wam figla spłatała.

Na te słowa ciekawa Teklusia porwała się z miejsca, wybiegła do obory i wkrótce z głośnym krzykiem wpadła do izby.

Babusiu, babusiu! — wołała, — siemieniatka wysiadła krowę, śliczną, tłustą krówkę, coby i kropla wody na niej nie ustała! I dobre dziecię w uniesieniu radości zapomniało zupełnie, że to było niepodobieństwem. Ale staruszka doskonale zrozumiała szlachetny żarcik panny Heleny i złożywszy ręce ze łzami w oczach, wzywała błogosławieństwa Bożego na jej piękną główkę. *L.*



Paweł Suzin.

Powyżej umieszczony portret, przedstawia jednego z poległych w ostatniem powstaniu młodzieńców, Pawła Suzina, który pomimo że urodzony na Syberyi, nieodrodnym był synem Polski — Ojciec jego Kajetan Suzin rodem z Litwy, za sprawę swej ojczyzny wygnany został na Syberyę, gdzie ożenił się z neofitką Sarą Abbasydą z pokolenia Arabów, matką Pawła. Mały chłopczyna w dziecinnym jeszcze wieku utracił swych rodziców, i jako sierota tułał się pomiędzy wygnańcami, aż przypadkiem dostał się do domu gubernatora, gdzie swą piękną rumianą twarzą, zwinnością a nadewszystko pojętnością ujął sobie wszystkich domowników tak dalece, że mu dano pozwolenie do uczęszczania do szkoły. Gubernator widząc tę chęć jego i zdolności do nauk, umieścił go następnie w szkole artyleryi, po której ukończeniu przydzielony został do pułku w służbie czynnej. Postępując i tam jeszcze w naukach. w 18tym już roku życia otrzymał stopień oficera. W ciągu służby w pułku, przebywającym zawsze tylko w guberniach syberyjskich, doczekał się radośnej chwili, w której nadarzyła się sposobność ujrzyć drogą Polskę, za którą ojciec jego i on już sam od urodzenia cierpiał. Pułk

jego dostał rozkaz wymarszu do Polski, w której właśnie rozpoczęły się ruchy i prześladowania. Na samą więc myśl, że może będzie musiał strzelać do swoich braci, wzdrygnął się Paweł, wystąpił więc z wojska i wyjechał do Francyi. Umieszczony jako aplikant w biórze budowli dróg w Paryżu, przebywał tam nie długo; w krótce bowiem wybuchło w Polsce powstanie. W raz z innymi wyruszył Suzin do ojczyzny. Przybywszy do Królestwa, zorganizował w Augustowskiem mały oddziałek strzelców, który prowadził walecznie do boju. Kilkakroć wypróbowani strzelcy z młodym dowódzcą na czele, dali się Moskalom w wielu utarczkach we znaki. Niestety jak wszystkie oddziały — uległ i ten przemocy w nieszczęśliwej potyczce z Moskalami pod Straciszkami dnia 21. czerwca 1864; Suzin ugodzony kulą nieprzyjacielską, przestał żyć w 26tym roku życia swego.

Postępek Maryni.

Ojciec sześcioletniej Maryni, wyjeżdżając pewnego razu do miasta, obiecał jej przywieźć gościńca. Cieszyła się dziewczynka, że mieć będzie zabawki, i oczekiwała z niecierpliwością powrotu dobrego tatka. — Ku wieczorowi przyjeżdża ojciec, przywozi przyobiecany gościniec i jeszcze zapakowany oddaje uśmiechniętej z radości Maryni. Odwija go ostrożnie, i za każdą wydobytą miseczką, za każdym dzbanuszkiem albo ryneczką, nowe podziwienie, nowa radość; ustawia wszystko na szklannej tacy i z ukontentowaniem przypatruje się swej gotowalni. — W tem babunia w drugim pokoju będąca, woła na nią, ażeby jej te piękne rzeczy przyniosła. Dziewczynka bierze tackę, idzie zwolna — tak, że babunia wymawia jej tę przesadzoną powolność, a wychodząc naprzeciw niej, chce odebrać z jej rąk sprzęt cały; lecz przez prędkość wytrąca go — pada na podłogę piękna tacka, i wszystkie miseczki, imbryczki i ryneczki tłuką się na drobne kawałki. Marynia ani krzyknęła, ani zapłakała, tylko zarumieniwszy się mocno, pocałowała babunię w rękę i te słowa wyrzekła: „A widzi babunia że to dobrze czasem być powolną.“

Po chwili babunia zmartwiona wyszła z pokoju, chcąc zapewne wynaleźć dar jaki dla wynagrodzenia dobrej Maryni, zajętej teraz zbieraniem szczątek swego skarbu rozrzuconego po podłodze, składając jego kawałki do kupy. W tem wszedł ojciec. Zobaczywszy podarunek swój już potłuczony, zaczął łajać dziewczynkę za taką nieostrożność. Marynia się rozpłakała, lecz nie powiedziała ani słówka na swe usprawiedliwienie. Dopiero za powrotem babuni, cała rzecz się wydała. W uściśnieniu swego ojca i w uczuciu własnego serca, znalazła dziecina wynagrodzenie swego postępku.

Staś.

Wiosennego poranku
Palił lokaj fajkę na ganku,
A dym w rozmaite skupiając się koła,
Wielką chmurą pływał w koło jego czoła.
Niebawem Staś mały widok ten spostrzega,
I z pokoju spiesznie do niego przybiega,
Prosi: Mój kochany...drogi! daj fajeczki!
Tylko dwa — dwa tylko wypuszczę dymeczki,
Bo to tak pięknie, tak mi się podoba!...
— Lecz Stasiu! — rzekł lokaj — to tylko osoba
Starsza do palenia fajeczki mieć może;
Dzieci jak ty małe, to nigdy broń Boże!

— Ja fajeczki nie chcę, ja tylko dymeczki
Dwa tylko chcę puścić z twej pięknej fajeczki;
A jakże to w tenczas będzie mi wesoło,
Gdy wzleci dym taki jak tęcza lub koło...
O! w tenczas, to będę najszczęśliwszy w świecie —
Mój złoty, najdroższy, usłuchaj mię przecie!...
Po takiej mowie
Lokaj mu powie:
„Gdy starszych daremne szczere napomnienie,
„Niech ciekawych uczy przykre doświadczenie;
„A potem z pewnością, gdy się dobrze sparzą,
„Co starsi zabronią, brać się nie odważą."
Dał fajkę Stasiowi — a Staś ucieszony
Puszczał dym niebieski w krąg na wszystkie strony,
Spoglądał w około z radośnym uśmiechem...
Wtem zbladł, rzucił fajkę, wstrzymał się z oddechem,
I upadł na ziemię, wrzasł: „Źle mi się dzieje!" —
A lokaj na niego spiesznie wodę leje,
I mimo starannej domowej pomocy —
Cierpiał i nie mógł spać ni we dnie ni w nocy.
Niechże z was dzieci każde to pamięta,
Że kiedy was bierze do czego ponęta,
Lepiej zawsze słuchać starszych napomnienia —
Bo co złe dla dzieci, wiedzą z doświadczenia.

Józef Chmielewki.

Powinszowania zastosowane do różnych okoliczności.

I. Ach czemuż nie mogę w dniu Twego Imienia
Kochana Matko! dowieść mej miłości,
Za Twoje trudy, Twoje poświęcenia
Czemuż nie zdołam okazać wdzięczności?
Ale są w sercu, są w mej pamięci,
Tam je przechować oto moja chwała!
To mój cel życia! oto moje chęci!
Abym Cię kochał i Tyś mnie kochała.
Chcę Ciebie wielbić i ulegać Tobie,
Na Twoją czułość zasługiwać wiecznie,
I czyli w szczęściu czy też w żałobie,
Czynami dowieść mych uczuć koniecznie.

II. Z wszystkich synów najwdzięczniejszy,
Najwdzięczniejszy z wszystkich dziatek,
Z wszystkich kwiatów najpiękniejszy
Niosę Matko Tobie kwiatek.
Twemi łaski rozrzewniony!
W nim uczuć daję zadatek,
A ten Mamo zwie się kwiatek:
Kwiat wdzięczności łzą zroszony.

Rady dla kochanych dzieci.

Środek przeciw ukąszeniu od pszczoły. Jak przeciw oparzeniu, tak i na ukąszenie przez pszczołę, sól kuchenna okazała się wybornym środkiem zaradczym; użyje się jej w ten sposób: po ukąszeniu przez pszczołę, stara się najprzód wyjąć żądło z rany, poczem pośliniwszy to miejsce, natrze nań odrobinę soli utłuczonej na proszek — czy to kamiennej czy warzonki, przez co zapobieży się puchlinie i dojmującym bolom.

Własności gummi-guty. Znana jest powszechnie gummi-guta, dająca piękną żółtą farbę. Jest to zasuszony sok z drzewa rosnącego w zamorskich krajach — w Ameryce i wschodnich Indyach. Piękna ta farba ma własności jadowite i sprawia boleśne ściąganie i zapalenie gardła, przeto przy użyciu jej należy się wystrzegać, brać pęzel do ust, jak to zwykle czyni młodzież zajmująca się kolorowaniem obrazków.

Aby zapobiedz licznym wypadkom poparzenia w skutek nieostrożności obchodzenia się z naftą, dosyć powiedzieć, że nie należy naftę nalewać do lamp wieczorem przy świetle, ale zawsze we dniu, a powtóre trzymać lampę i naczynie z naftą w zimnem miejscu.

Domięszanie kości umielonych na mączkę do ziemi, bardzo jest skutecznem dla roślin w wazonkach hodowanych; rośliny rosną w takiej ziemi bardzo roskosznie i wydają kwiat obficie.

ROZMAITOŚCI.

— W Krobii, miasteczku położonem w Prusach Zachodnich, w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego miało miejsce uroczyste przystąpienie dzieci do pierwszej komunii. Po odprawionej sumie stanęły dzieci przed wielkim ołtarzem w dwóch rzędach ze świecami w rękach, oczekując chleba anielskiego. Przed komunią przemówił do nich proboszcz x. Tafelski w słowach do uroczystości odpowiednich, napominając, aby odebraną sukienkę niewinności starały się zachować po wszystkie dni żywota, poczem udzielił wyczekującym dziatkom komunią. Po ukończeniu zwrócił się troskliwy pasterz znów do młodych owieczek swoich i wystawiwszy w dość jędrnych słowach główniejsze szkodliwsze skutki, jakie z nałogu pijaństwa wynikają, wezwał skruszone dziatki do wyrzeczenia się owego strasznego nałogu aż do dojrzałego wieku, gdy ten nałóg najszkodliwiej oddziałuje na usposobienie niedorosłego. Z chęcią przystały dziatki na życzenia pasterza swego, a mocne postanowienie swoje stwierdziły przysięgą — przy podniesieniu prawej ręki w przytomności rodziców. W końcu udarował czcigodny kapłan każde z dziatek obrazkiem na pamiątkę pierwszej komunii świętej.

— W Szentkutye miejscu odpustowem na Węgrzech, gdzie corocznie zgromadza się 50 do 60 tysięcy ludzi, przyczem jak się rozumie nie brakuje i żebraków, przed dwoma laty jedna kobieta zgubiła 8letniego chłopczynę, którego teraz na odpuście podczas zielonych świątek w temże miejscu poznała — ale w jakim stanie — w towarzystwie żebraka, w nędznem okryciu i ochromionego na obie nogi. Żebraka przytrzymano, który przy indagacyi się przyznał, że przed dwoma laty uprowadził tego chłopczynę i uchromił go przerżnięciem żył u nóg dla tego, aby tem więcej mógł wzbudzić miłosierdzie ludzkie. Z dalszego śledztwa pokazało się, że ten zbrodniarz posiada dóm, rolę i ogród z winnicą. — Z tego wypadku poznacie kochane dziatki, jak niebezpiecznie jest odbiegać od starszych w miejscach publicznych.

Wydawca i odpow. redaktor: **M. Stupnicki.** Z drukarni M. F. Poremby.